



Gdzie diabeł mówi dobranoc

Eugeniusz Paukšta

Eugeniusz Paukšta

GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-34-0

Copyright © Eugeniusz Paukšta

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Spis treści:

1. Większa rozróżba
2. Niespodziewany wyjazd
3. Pyskate lichy
4. Pierwsze strzały
5. Kraksa
6. Co leśniczy wyszukał w gazecie
7. Dziewczęta zza rzeki
8. Zadra w sercu
9. Nawałnica
10. Wieczorne wspominki
11. Nowa rozróżba
12. Zasadzka w stodole
13. Ponowa
14. Klem osaczony
15. Basior
16. Michał odnalazł trop
17. Mokra przygoda
18. Jeszcze raz Wierzbik
19. Michał na widowni
20. Wiosenne amory
21. Dalsze nowiny
22. Trudna rozgrywka
23. Węgorzowe noce
24. Klem
25. Nieoczekiwane spotkanie
26. Grom z jasnego nieba
27. Zagmatwana sprawa
28. Znowu w Sumach

1. WIĘKSZA ROZRÓBA

O zmroku mżawka przestała siąpić, mimo to w powietrzu wisiała wilgła, przenikająca mgła. Chmury opadły nad ziemię grubą powłoką, zdawało się, że pochłonał szczyty parkowych drzew i smukłą wieżę ratusza.

Dzwoniąc przeraźliwie, ze skrzypem i zgrzytaniem starego żelastwa zleciał w dół rozklekotany tramwaj. Dostojnie, z równomiernym klaskaniem kopyt i cichym szelestem opon stoczyła się niedługo po nim dorożka.

Skąpe latarnie żółtym światłem słały się na wilgotny bruk. Chodniki tonęły w mroku pogłębianym przez cienie rozrosłych lip, pokapujących z czarnych konarów kroplami wody.

Psia pogoda nie odstraszała jednak w ten sobotni wieczór mieszkańców miasta. Dziurawymi chodnikami snuły się tłumy przechodniów. Jedni spieszyli, kuląc się w wyświechtanych jesionkach, inni człapali leniwie, przystając przed witrynami skąpo oświetlonych sklepów.

Przed hallem kinowym gwarно było i rojno. Od oszklonych gablot kryjących fotosy roześmianych aktorek padały na trotuar snopy jasnego światła lamp jarzeniowych. Przy kasie, z daleka widoczny, czerniał wielki napis: *Bilety wyprzedane na wszystkie seanse*. Ludzie czytali te słowa z niedowierzaniem, po czym odchodzili zgaszeni i gniewni. Byстрым okiem mierzyli ich kręcący się w tłumie młodzi chłopcy, proponowali odprzedaż biletów.

– Dwie dychy, jak za darmo! Taaaki film z Chevalierem...

Jedni klęli, precz goniąc spryciarzy, inni z krzywą miną decydowali się jednak na zapłacenie żądanej sumy. Sobota jest przecież tylko raz w tygodniu...

Z ulicy rozległ się nagle przenikliwy gwizd, wśród publiczności przed kinem nastąpiło poruszenie, zatupotały śpieszne kroki, pojawiły się mundury milicji.

– Nalot na spółdzielnię „Bilecik”... – z satysfakcją zaśmiał się jakiś wąsaty jegomość, ciekawie obserwując scenę rozgrywającą się w błyskawicznym tempie.

Młodociani sprzedawcy biletów rozglądali się spłoszeni, szukając szpary, którą by można czmychnąć przed milicjantami. Któryś szybkim ruchem rzucił za siebie plik różowych kuponów, w tejże chwili przedstawiciel władzy złapał go za ramię.

– Panie starszy, za co mnie? Ja tu przypadkiem... randkę miałem...

Któryś się wyrwał, rwał co siły w nogach przez jezdnię, milicjanci łoskocąc butami pognali za nim szpalerem starych lip.

Przystojny, młody człowiek lat około dwudziestu uważnie obserwował wypadki. Milicjanci byli już niedaleko. Przysunął się wtedy do leciwej pary, opuszczającej oświetloną przestrzeń przed kinem.

– Dobrze tak łobuzom, może nareszcie będzie porządek! Ani się dostać przez nich do kina...

Opatulona w watowany płaszcz jejmość życzliwie spojrzała na młodzieńca.

– O to, to... My już drugą sobotę odchodzimy tak z kwitkiem. Stary późno wraca z roboty, czekam z obiadem, ani mowy, aby stanąć w kolejce. A później już figa...

– Ostrożnie, proszę pani! Że też nie załatąją tych dziur w chodniku...

Usłużny chłopiec dopomógł starszej pani obejść wyrwę. Mijali właśnie milicjanta. Spojrzał uważnie, ale widząc młodzieńca ujmującego kobietę pod ramię, uznał całą trójkę za przykładne małżeństwo z synem.

Po chwili znaleźli się w cieniu drzew długim rzędem wytyczających bieg ulicy. Rozgwar przed kinem został za nimi, przycichał.

– No i co, matka, trzeba wracać do domu...

– A trzeba! Dobrze im tak, łobuzom... – westchnęła.

Młody człowiek, ciągle trzymający się razem, rozejrzał się dokoła, pogmerał dłonią w kieszeni.

– To ja już pójdę w swoją stronę – powiedział, przystając. Po czym wyciągnął rękę do leciwej matrony. – Proszę, to dla państwa, na następny seans...

Spoglądali na niego nie rozumiejąc. Kobieta machinalnie wzięła do ręki różowe kupony.

– Co to?

– Bileciki, żebyście państwo nie wracali próżno do domu... Gdyby nie wasza pomoc, nakryliby mnie jak amen w pacierzu. Tyle tego miałem jeszcze przy sobie! – zamachnął im przed oczyma plikiem różowych kartek i uchyliwszy lekko nastroszonej czapki, pogwizdując oddalił się w ciemną przecznicę.

Tamci tkwili w miejscu jak oniemiaли. Dopiero po chwili starszy jegomość wybuchnął gniewem.

– Widzisz ty huncwota, łobuza z piekła rodem... Gdzie tu milicja? Grzeczniaček się znalazł! – pokrzykiwał.

– Cichaj, Antuk, cichaj. – Kobieta przycisnęła łokciem ramię męża. – Nie zaczynaj, wróci i po oczach cię czymś przejedzie...

– Ja mu wrócę... – nie dokończył, syknęła bowiem tak jednoznacznie, że zrezygnowany umilkł i tylko sapał gniewnie.

– Szkoda zmarnować bilety, choć to niby niecnym sposobem... Zaraz nowy seans, pójdziemy – i powiodła ociągającego się małżonka przed jasno oświetlone wejście do kina. Tam już panował spokój. Nie było śladu milicji, ale i nikt nie proponował biletów.

„Greczny” młodzieniec ze złośliwym uśmiechem obserwował z oddali parę, która bezwiednie wyratowała go z opresji. „Baba ma więcej rozumu, pomyślał, są bilety, to i po zmartwieniu...” Mocniej nacisnął kaszkiet na głowę, splunął przez zęby. Zły był. Wyciągnął z kieszeni paczkę biletów i patrzył na nie z niechęcią, obliczając, ile stracił na dzisiejszej historii. Nieprędko będzie drugi film z Chevalierem. A w ogóle interes zaczął się psuć. Naloty milicji stawały się coraz częstsze. Trzeba chyba rozejrzeć się za pewniejszym zarobkiem.

Drobne płatki porwanych kuponów opadły na ziemię, nasiąkając wilgocią błota. Przydeptał je jeszcze obcasem.

Włókł się wolno, zastanawiając się, co zrobić z resztą wieczoru. Mijała go jakaś dziewczyna. Rozłożył szeroko ramiona cmokając zachęcająco. Strwożona frunęła na drugą stronę ulicy, nie zważając na kałuże rozpryskujące się pod nogami. Zaśmiał się rechotliwie.

W oddali świecił szyld zagubionej na uboczu, podrzędnej knajpy. Przyspieszył kroku, pchnął poskrzypujące drzwi. Z osnutej kłębam dymu sali płynął ostry zapach piwa. Większość stolików była zajęta, goście porządnie już mieli w czubie. Przysiadł niedaleko wejścia. Zaraz zbliżył się do niego kelner o wyszarzałej, zmiętej twarzy.

– Panie Franuś, coś na przegrychę i buteleczkę oranżady, że to sobota – uśmiechnął się domyślnie.

Kelner przechylił się poufale, odsłaniając w uśmiechu popsute, nie czyszczone zęby.

– Z oranżadą numer nie przejdzie. Kręćka dostali z kontrolą. Dwie dzisiaj mieliśmy... Chyba, że pan przejdiesz do telefonu...

– Wszystko jedno, byle zaraz.

– Już się robi... A na zagrychę może być kotlecik, pierwsza klasa, z kapustą i kartofelkami... Duże piwko do tego...

– Dobra, dobra, coś się pan, Franuś, tak dzisiaj rozgadał? – spytał łyskając gniewnie oczyma.

Kelner za dobrze znał swoich gości, by próbować dalszej dyskusji z „Pięknym Edziem”. Odpłynął bezszelestnie.

Edward Zaleski wolnym krokiem pomaszerował tymczasem za przepierzenie, gdzie w korytarzyku znajdował się aparat telefoniczny. Po chwili ukazał się kelner ze szklanką wódki i kwaszonym ogórkiem w papierku.

– Siup, zdrowieczko! – Młodzian wprawnym ruchem przechylił szklankę, dwoma łykami przełknął ostry płyn. Z lubością zachłysnął się kwaśnym, soczystym ogórkiem.

Kelner odebrał mu szklankę z rąk, szybko ginąc z nią w bocznych drzwiach korytarza. „Piękny Edzio” powrócił na zadymioną salę, lustrując ją bacznie w poszukiwaniu znajomych. Z pewną niechęcią zabrał się do postawionego przed sobą kotleta. Nie miał zbyt różowego nastroju. Wszystko zaczynało się komplikować. Stosunki w domu szwagra, gdzie mieszkał, pogarszały się. Mieszkanko było ciasne, dzieci szwagrostwu przybywało, coraz więcej kłopotu było z młodzieńcem, który w dodatku wracał późną nocą i robił harmider. Dochody jego również zmarniały ostatnio. Zorganizował ze sporym nakładem pracy i kosztów intratny konikowy interes, ale ryzyko stawało się nieproporcjonalnie wysokie. Koledzy napomykali mu o innych okazjach, ale na tamte nie chciał się zdecydować...

Powietrze oczyściło się trochę, po dusznej atmosferze knajpy wciągnął je w płuca pełnymi haustami. Na ulicach było teraz mniej ludzi. Wesół rozgwar dobiegał tylko z okolic kawiarenki „Warmianka”. Tam zawsze najchętniej gromadziła się młodzież Olsztyna. Z okien lokalu padały szerokie smugi światła. Obok kolorowymi żarówkami i muzyką ochryplę ze starości płyty zachęcała jaskrawo pomalowana strzelnica. Tłoczyli się tam gęsto młodzieńcy z odkrytymi głowami albo w kaszkietach wypchanych od środka papierem.

Przy chodniku, popiskując i chichocząc, małymi grupkami skupiały się dziewczęta.

– Cześć, cześć – bez entuzjazmu odpowiadając na pozdrowienia, przystanął Edek w grupie rozgorączkowanych chłopców, celnym strzałem usiłujących wygrać butelkę wina. Każde pudło witane było chóralnym rechotem.

Jakiś blondynek o zaondulowanych włosach długo mierzył, aż wargi zagryzał z emocji. Pudło. Próbował od nowa. Znów pudło. Aż huczało od śmiechu i kpin.

– Pokaż tę wiatrówkę. – Edek obcesowo wyjął ją z dłoni blondynka.

Tamten chciał protestować, ale napotkawszy spojrzenie przybysza, dał spokój.

Nie mierzył długo. Tyle już razy próbował szczęścia w tej strzelnicy, aż dobrze poznał tajemnicę każdej z trzech wiatrówek. Ta z kolbą bordo miała muszkę przekrzywioną na lewo... Trzask, zachybotała się, a potem wywinęła kozła drewniana figurka w środku tarczy. Pokrzyk uznania pobiegł ulicą. Drugi strzał, figurka zawirowała jak szalona. Gapie ryczeli z zachwytu. Właściciel strzelnicy z krzywą miną podał Edkowi dwie flaszki podłego wina owocowego.

– Pijemy, koleś? – zagadnął triumfatora jakiś wyszmelcowany typ o zawadiackich ruchach.

Edek zawahał się przez moment, po czym niedbale rzucił flaszką w jego stronę. W drugiej uderzeniu o kant budki strzelniczej odłupał lak, dłonią wybił korek, przechylił butelkę do gardła. Nie smakowało mu, wino było kwaśne, niosło świeżym fermentem. Spojrzał pytająco dokoła, zaraz wyciągnęło się kilka chciwych rąk.

– Kasę dobroczynną organizujesz? – usłyszał znajomy głos. Obejrzał się. Ucieszył go widok dwóch najbliższych współników z „konikowego” interesu. Wycofał się do nich z tłumu.

– Nie przymknęli was?

– Józka w ogóle nie było wtedy przed kinem, ja frunąłem na salę, bo właśnie służbę objął Kawiński, swój bileter. Stówkę musiałem mu za to odpalić – ostatnie słowa elegancko ubrany wysoki młodzian wymówił z żalem.

– Warto było... Mógłbyś mieć sądową historię... W orzekającym już stawałeś przecie dwa razy. Recydywista...

Zaśmiali się. Wolno, przyglądając się mijanym dziewczętom, skręcili obok ratusza na Stare Miasto.

– Pod „Żagle”? – zagadnął elegant.

– Nie wiem, zobaczmy. I tak nie ma nic do roboty...

Ciemna ulica wsiąkała w Bramę Piastowską. Skręcili w lewo, na widoczny z daleka podjazd restauracji „Pod Żaglami”.

Niezdeterminowani, przystanęli koło wysokiego drzewa. Nasiąkły wodą pień białł kilku ogłoszeniami. Papierosy migały ognikami. Spluwali, rzadko rzucając słowa.

– Wiesz, Edek Krasawczyk odgrażał się wczoraj, że cię pošle na piwko do Abrahama... Ululany był w dechę, dlatego wiercił jadaczką. Ty się strzeż, to bandzior nie z tej ziemi...

– Ja go nie zaczepiam. A że wtedy dostał po uszach, to trudno. Sam zaczął – dorzucił gniewnie.

Niski, krępy kolega w czapce WSR nie przekonany potrząsnął głową.

– Pamiętaj, że to facet od mokrej roboty...

– Niechże go jasna cholera! No co, idziemy pod „Żagle”?

– Można...

– W zastępstwie tamtych... Wiaruchna wraca już na nieswoich nogach...

Z podjazdu restauracji, pokrzykując, staczało się w ich stronę większe towarzystwo, dobrze pod datą.

– Uważaj, Edek, to Krasawczyk ze swymi... – ściszoneg głosem rzekł nagle student, po czym szybkim ruchem zerwał z głowy czapkę uczelni, starannie chowając ją w wewnętrznej kieszeni jesionki. – Może być rozróżba, a nie chciałbym z budy wylecieć...

Edek ściągnął brwi. Szukając łatwych zarobków, wdał się w towarzystwo rozwałęsaney młodzieży, wśród której nie brakło rasowych bandytów czy złodziejasków. Czasem dochodziło do chwilowych sojuszy, a znacznie częściej do ostrych konfliktów. Wychodził z nich zazwyczaj obronną ręką, czym wyrobił sobie pewien respekt wśród koników i lekkoduchów. Z wyjątkiem Krasawczyka... Ten widział w nim konkurenta, a nie znoził nikogo wokoło siebie, kto mu odbierał wpływy w chulięńskim środowisku. Brzydki, ze szramą od noża biegnącą przez prawy policzek, dla ironii przezwany został w swym środowisku Krasawczykiem... Szedł właśnie teraz z dwójką kompanów i dziewczyną uwieszoną mu u ramienia.

Edek z kompanami cofnął się na bok, aby nie tarasować drogi. Dostrzegł wlepione w siebie duże oczy dziewczyny. Poznał ją. Była to ukochana Krasawczyka. Od dawna wodziła za przystojnym chłopcem bardziej niż ciekawym spojrzeniem. Edek umiał ocenić jej urodę, ale nic więcej. Nie obchodziła go, wzruszeniem ramion przyjmował oświadczenia kolegów, że dziewczyna szuka podobno okazji poznania się z nim.

Jej niepohamowane spojrzenie zaniepokoiło teraz towarzysza. Uważnie ogarnął wzrokiem trójkę mężczyzn stojących u skraju chodnika. Poznał Edka. Stał w miejscu jak wryty i zaraz szarpnął się z krzykiem do przodu. Dziewczyna kurczowo uczepliła się jego rękawa, próbując zażegnać awanturę. Pozostała trójka kompanów również nie przejawiała ochoty do starcia, usiłowali bowiem powstrzymać swego prowodyra.

Krasawczyk, pijany i zaślepiony złością, ani myślał ich słuchać. Jedną ręką szarpiąc się z dziewczyną, drugą wyciągnął z kieszeni długi przedmiot owinięty w gazetę. Dziewczyna krzyknęła, próbowała go powstrzymać. Wtedy z całej siły, na odlew, machnął ją dłonią w twarz, aż zatoczyła się na pobliski parkan.

Teraz już i Edek miał dosyć. Do tej chwili pragnął uniknąć starcia, z zaciśniętymi pięściami tkwił w miejscu, śledząc całą scenę. Na widok uderzonej dziewczyny rzucił się na Krasawczyka, schylając się równocześnie przed ciosem rury. Zakotłowało się, kompani z obu grup w jednej chwili również wdali się w bijatykę. Dziewczyna krzyczała, wokół niej

przewalały się ciała, ktoś padał, zrywał się, parł przed siebie z wyciągniętymi pięściami, walił sierpowym, w odwecie grzmotnięty straszliwym „bykiem” zataczał się na strony.

Krasawczyk miał opinię specja w ulicznych masakrach. I teraz on właśnie atakował Edka, zwinny, czujny, zręczny, jakby kropli alkoholu nie miał tego dnia w ustach. Znów się zamachnął skrytą w gazecie rurką, zaraz jęknął boleśnie, zabolęło ramię trafione zręcznym kopnięciem, palce dłoni rozwarły się, żelazo z brzękiem upadło na chodnik.

Edek poczuł nagle, jak przeciwnik uderza nań całym ciężarem ciała. Aż się zachwiał, potknął o krawędź jezdni, runął plecami na ziemię. Tamten przysiadł już na nim, siekąc jednocześnie pięściami głowę i twarz. Tyle tylko, że zdążył się wywinąć, zrzucić przeciwnika z siebie, podpierając się rozkrwawionymi o bruk dłońmi, poderwać i odskoczyć w bok. Już się wyprostował, gdy silny cios w twarz ponownie odrzucił go do tyłu.

W ustach poczuł mdławą smak krwi. Zagryzł więc tylko wargi, czując, że słabnie, że jeszcze jeden podobny cios, a Krasawczyk nowym triumfem potwierdzi swą opinię niezwyciężonego. Schylił więc tylko głowę, wtulił ją w ramiona, przygięty próbował ostatniego ataku. Osłabł, może wypita niedawno wódka odbierała mu siły, dość że tamten ciągle miał nad nim wyraźną przewagę. Zatoczył się, zastawił ręką przed nowym uderzeniem... I nagle uczył, że w prawą dłoń wciska mu się coś twardego, ciężkiego. Domyślił się raczej, niż ujrzał, że to dziewczyna podała mu rurę żelazną, upuszczoną przez Krasawczyka. Nie zastanawiając się, rozgorączkowany walką, odskoczył nagle na bok, zamachnął się resztą siły. Krasawczyk nie zdołał uskoczyć. Żelazo z głuchym stukiem opadło na jego głowę. Tak jak stał, z zanikającym jękiem runął na ziemię...

Edek jeszcze się nie opamiętał, rozgniony drżał, gotów do dalszej walki. Kotłowanina pozostałej piątki także nie ustawała. Dziewczyna uniosła nagle ręce do twarzy i pełna przerażenia wolniutko, półkroczkami zaczęła się cofać. Edek bardziej domyślał się, niż ujrzał przerażenie w jej twarzy i ruchach.

Oprzytomnił go w tej samej chwili nagły krzyk któregoś z towarzyszy dziewczyny.

– Zabił go, zabił...

Spojrzał. Przeciwnik leżał bez ruchu, z rozrzuconymi rękami. Ucichło nagle, bójka urwała się jak nożem ciął. Wszyscy stanęli zdjęci nagłym lękiem. Bić się, tak, to było ich żywiołem, ale nie zabijać...

W to zastygłe nagle milczenie wbiegł cichy gwizd i tupot nadbiegających kroków. Gwizdowi odpowiedział dalszy, od strony ratusza.

– Milicja! – szepnął ktoś gorączkowo.

I jakby wstąpiły w nich wszystkich nowe siły, rzucili się do raptownej ucieczki, rozsypując się na strony. Tylko dziewczyna dłońmi przesłaniając twarz została przy leżącym bez ruchu Krasawczyku.

– Nie wiem, nie wiem... On nie żyje... Nie wiem kto, nie wiem... – słychać było jeszcze przez mrok szloch dziewczyny, indagowanej przez milicjantów, którzy nadbiegli na miejsce wypadku.

Edek, klucząc między stertami cegieł prowadzonej tutaj budowy, słyszał te jej słowa i zrozumiał z nich tylko jedno, to straszne, potwierdzające uprzednią niejasną świadomość, czego dokonał. „Nie żyje, nie żyje...”

Łatwo, już spokojny o pogoń, której odgłosy dobiegały tu jeszcze od innej strony, wydostał się z rozbranych placów Starego Miasta na stromą uliczkę Wyzwolenia. Zasapany, wspiał się na nią i kryjąc się w cieniu, prędko skręcił od ratusza na lewo, omijając rozgwar okolic „Warmianki”.

Pragnął teraz znaleźć się jak najdalej od miejsca awantury. Bał się światła i ludzi. Nie mógł zebrać myśli, głowa bolała go, szumiało w niej i tętniło. Czuł krew krzepnącą na wargach i policzku, napotkał kilka strwożonych spojrzeń przechodniów. Nacisnął głębiej

czapkę, aby rzucała więcej cienia na twarz, szukał miejsc mrocznych, o co zresztą nie było trudno w źle oświetlonym mieście.

Szedł tak nieswoimi krokami, zagubiony nagle w ulicach tak przecie dobrze mu znanych. Szare, oślisłe w nieustannie siąpiącym deszczu mury starych kamienic, bezradne kikuty pokapujących wodą drzew, mijający go śpiesznie przechodnie, wszystko to stało mu się obce, jakby przeniesione z innego świata. Nie myślał już nawet o dopiero minionych chwilach, o dziewczynie, Krasawczyku, o ucieczce przed ścigającą go milicją. O niczym właściwie nie myślał. Po prostu było mu bardzo ciężko i źle.

Minął tunel, biegł już niemal ulicą wznoszącą się w górę. Daleko za nim została jaśniej oświetlona przestrzeń koło wybudowanego tutaj przed laty hotelu. Skręcił w lewo. Skryte w przeładowanych drzewami ogródkach drzemały tu zamożniejsze wille, tuląc się w zgodzie do ubogich parterówek.

Edek przystanął przed bramką piskliwie kolebiącą się na spracowanych zawiasach. Dłonią przeciągnął po wardze, uczuł lepką wilgotność krwi.

Westchnął niechętnie, gdy zza niskich drzwi, których klamkę właśnie nacisnął, dobiegł go gderliwy głos kobiecy.

2. NIESPODZIEWANY WYJAZD

W niebieskawym świetle z trudem ogarniającym przedział Edek przyglądał się towarzyszowi. Długie, jasne włosy chłopaka rozsypały się w nieładzie na strony, głowa podrygiwała w takt uderzeń pociągu na spojeniach szyn. W półmroku twarz Gasińca wydawała się bardziej blada niż przed paru godzinami na zatłoczonym dworcu olsztyńskim. Pamiętał, że Mietek zawsze był wymizierowany i blady. Teraz nawet jak gdyby zmężniał. Przecież to ładne parę lat, jak się rozstali.

Podnosząc się ostrożnie, aby nie zbudzić współtowarzysza drogi, uśmiechnął się do dawnych wspomnień. On, szkolny zabijaka, uczestnik wszystkich bójek, z natury już nie znoszący cherlaków, nie wiedzieć czemu przywiązał się wtedy do wątlęgo Gasińca. Nie była to nawet przyjaźń, zbyt różny był świat ich zainteresowań. Oł, po prostu wziął go w obronę przed atakami złośliwych kolegów, wymłócił paru z nich porządnie i tyle. No, jeszcze tamta historia na ślizgawce, wtedy wszystko mogło się skończyć poważniej... Ech, stare dzieje! I teraz to niespodziewane spotkanie, a w ślad za nim decyzja wyjazdu na koniec województwa, do jakiejś zakazanej dziury.

Wyszedł na korytarzyk w końcu wagonu. Drzemała tam jakaś babina przysiadłszy na obfitych tłumokach. Palił papierosa, zazdroszcząc wszystkim, iż mogą spać tak spokojnie. Jego sen nie miał się, choć był przecie solidnie zmęczony.

„Nerwy, psiakrew” – syknął niechętnie, wargami przesuwając papierosa z jednego w drugi kąt ust.

Wyjął lusterko, przejrzał się. Rozcięta warga i potężny siniec pod okiem dowodnie świadczyły o niedawnej awanturze.

Nie wiadomo, co jeszcze z tego wyniknie...

Czyżby naprawdę nie żył? Ta głupia dziewczucha darła się, że ją było słychać na drugim końcu miasta, ale skąd mogła wiedzieć? – Wstrząsnął nim dreszcz lęku. Papieros parzył wargi, rzucił go na ziemię, gniewnie przydeptał nogą.

No tak, ale gdyby nie to żelazo w gazecie, on mnie wyprawiłby dla odmiany na Abrahamowe piwo. Bronilem się...

Nie, ani nie chciał, ani nie miał siły rozmyślać teraz nad wszystkim. Przytknął gorące czoło do zroszonej, zimnej szyby. Na chwilę przyniosło to ulgę, ale nie było już żadnej różnicy między ciałem a szkłem. Zerknął na drzemającą na swych tłumokach babinę, uchylił

okno. Pęd pociągu z poświstem wrzucał do wnętrza wagonu przesycone mżawką powietrze. Edek wychylił głowę, poddając ją gwałtownym uderzeniom wiatru. Stał tak długo, aż poczuł przenikający go chłód. Wtedy przymknął okno, zostawiając tylko niewielką szparę. Znow sięgnął po papierosa.

„Rozklejam się, psiakrew”.

Zły był na siebie za takie uleganie chwilowym nastrojom. Jak dotąd, skuteczniej umiał się z nimi uporać. Przed oczy nadpłynął widok Krasawczyka leżącego nieruchomo na chodniku olsztyńskiej ulicy. Czym prędzej odsunął to wspomnienie od siebie. Bał się teraz własnych myśli, chyba pierwszy raz w życiu czegoś się bał.

Za oknami lekko szarzało. Dochodziła piąta. Za godzinę będą w Rucianem, potem dalej, na Pisz...

Nie był tam nigdy. Włóczył się trochę po jeziorach, ale o te strony nie zawadził. Zamyślił się: jakże to będzie u Gasińca? Leśniczówka, podobno zupełnie odludzie. Lasy, lasy, woda i zwierzęta. Ludzi na palcach można policzyć... Odpowiadała mu taka perspektywa. Dosyć miał wielkiego miasta. Marzył teraz o spokoju.

A w ogóle jakoś dziwnie się układa to wszystko. Odtwarzał w pamięci dalsze koleje minionego wieczoru...

Jeszcze za drzwiami usłyszał gderliwy głos siostry. Zamierzał dyskretnie przesunąć się do bokówki, w której sypiał. Gdzież tam, od razu przywitała go pełną gębą:

– Patrzcie, co za cud, jaśnie hrabicz o dziewiątej już w domu...

I zaraz przyjrzała się mu uważnie. Twarz miał pokrwawioną, podobnie ręce. Na ubraniu zastygłe gęste, grube krople, skapujące z rozciętej wargi. Zaniepokojona poskoczyła ku niemu, zawołała męża.

– Dajcie mi święty spokój! Sprano mnie po mordzie i tyle. Nie ma co wydziwiać.

Dopiero sobie narobił tym odezwaniem! Nasłuchał się wyzwisk od hycli i bandytów, od chuliganów, co prostą drogą zmierzają do więzienia, od lekkoduchów, co nigdzie nie pracując, jeszcze tylko kąt cudzy zajmują i z resztek objadają swych krewnych...

Miał tego dosyć. Pragnął spokoju. Poszedł do swej bokówki, nory o powierzchni dwa metry na dwa, wyjął ze schowka zwitek pieniędzy, rzucił siostrze parę czerwonych setek.

– Macie za kąt i żarcie. Przed tygodniem przecie płaciłem...

Ucichli. Niska, rozrosła kobieta o zharowanej i nasiąkłej złością twarzy szybko schowała otrzymane pieniądze w zanadrze. Udobruchała się.

– Ej, Edek, Edek, że też ty na porządne drogi nie wejdziesz! Zrób sobie kompres albo lepiej żelazo na gębę przyłóż, to odciągnie...

Godzinę mordował się z kompresami i kawałkami metalu przytykanymi do zbolałych miejsc. Potem cisnął wszystko w kąt, zasunął strzepy firanki na drzwiach swej bokówki.

Leżąc myślał, co dalej robić. Pierwszy raz myśl o przyszłości przejmowała go trwogą.

Niespokojnie nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz. Każde mocniejsze kroki z ulicy witał drgnieniem serca. Może po niego? Wypalił wszystkie papierosy. Szwagrostwo już spali. Jego sen się nie imał, zresztą bał się snu. Chciał mieć świadomość tego, co się z nim będzie działo... Od nowa próbował przykładac kompresy. Obrzęki cofnęły się wyraźnie. Zegar ścienny w kuchni wybił trzy kwadranse na dwunastą. Wtedy błysnęła mu myśl o ucieczce. Z tego domu, gdzie nie zaznał nigdy krzty serca, tylko zimne wyrachowanie, z miasta, gdzie tak się dziwnie zwichnęły jego lata, może nawet z kraju, w którym nie widział dla siebie przyszłości.

Ubierał się szybko. W kieszeń wsunął paczkę banknotów, zdziwiony, że jest tego tak dużo, prawie trzy tysiące, przeważnie z biletowych zarobków. Wepchnął do teczki parę koszul, spodnie, jakieś drobiazgi. Spłoszony i podniecony, śpieszył się, nie mógł trafić kluczem do drzwi. Siostra przewróciła się na drugi bok. Przystanął, zawrócił do niej.

– Julia! – szarpnął ją wcale niedelikatnie za ramię... – Julia!

– Czego chcesz? – wymamrotała przez sen.
– Słuchaj, ja wyjeżdżam na dłużej, tydzień, może miesiąc. Zatrzymaj moje miejsce, zapłacę...

Oprzytomniała. Siadła na łóżku, szukała kontaktu nocnej lampki, budziła męża.
– Edek wyjeżdża... Co on narobił? Żeby na nas biedy jakiej nie było. Ej, słyszysz, Edek wyjeżdża...

Zatraskując za sobą drzwi, słyszał ich niespokojne głosy, zabłysło światło. Nie bez złośliwości pomyślał, że będą się teraz głowić, kombinować, może chować jakiś towar zakupiony na lewo... Co go to zresztą obchodzi. On wie, co ma robić.

Dopiero gdy przeszedł spory kawał drogi, stuknął się dłonią w czoło. Właśnie że nie ma pojęcia, co robi. Uciekł z domu, bo bał się tam tego, co może przyjść z zewnątrz, bał się też siebie samego. Nie mógł wytrzymać w tej ciszy, przerywanej ciężkimi oddechami śpiących, nie umiał znieść zaduchu spoconych ciał i kuchennych woni. Chciał opuścić mieszkanie, które dla niego nie było domem... Powiedział Juli, że wyjeżdża... Wyjeżdża, to może i dobre. Ale dokąd? Dokąd ma jechać? Przecie nie na wczasy. Aż się uśmiechnął do tego sformułowania, tak się mu niestosowne wydało w jego sytuacji...

Nastawił kołnierz palta. Sięgnął po papierosa. Zabrakło. Dwunasta, gdzie teraz dostanie coś do palenia? Wszystkie knajpy pozamykane... Przypomniawszy sobie dworzec. Znów się uśmiechnął. Jakoś tak się dziwnie wszystko składało. Mówił o wyjeździe, teraz idzie na dworzec. Kto wie, może naprawdę wyjedzie. Kupi sobie bilet gdzie bądź, byle dalej. Może do Ełku, może do Kętrzyna albo Giżycka...

Na ulicach było pusto. Głucho zadudniły kroki milicyjnego patrolu. Edek skulił się, może już jest poszukiwany? Ale przedstawiciele władzy minęli go obojętnie.

Skrzywił się trochę na jasne światła zatłoczonych ludźmi hal dworcowych. Będą zwracali uwagę na jego potłuczoną, posiniaczoną gębę, może tam właśnie wpadnie milicji w oko. Tymczasem mało kogo obchodził barczysty, wysoki młodzieniec z teczką w dłoni, przystający obok kiosku, przeciskający się potem przez zator około kas do restauracji dworcowej. Ledwie ktoś tam pobieżnie musnął wzrokiem jego twarz, już mijał, zajęty własnymi sprawami...

Z satysfakcją umoczył usta w zimnym piwie.

Przez megafon oznajmiono odjazd pociągów. Ludzie rzucili się do drzwi wyjściowych na perony. W sali znacznie się przerzedziło. Było wpół do pierwszej. Edek pomyślał, że najwyższy czas powziąć jakąś decyzję. Nie będzie siedział tu w nieskończoność. Trzeba wykupić bilet na najbliższy pociąg. Ba, tylko dokąd? W wyniku rozmyślań zamówił trzecie piwo, choć nie miał na nie specjalnej ochoty.

Sala restauracyjna ciepła była od ludzkich oddechów i parujących wilgotnych okryć. Kwaśny odór piwa przenikał powietrze. Nie przeszkadzało to Edkowi. Myśl jego pracowała leniwie, czuł dziwne otępienie woli. Siedział tak bez końca, gapiąc się na współtowarzyszy, łykając zimne piwo, nie trapiąc się o nic... Nie jak ten chłopiec ciągle spoglądający na zegarek.

„Zaraz, ale ja znam przecież tego faceta... Toż to mój słabeusz, ani chybi...”

– Gasiniec! Mietek! – wiele nie myśląc rzucił przez kilka dzielących ich stolików.

Chudy blondyn o rozrzuconych w nieładzie włosach ze zdziwieniem powiódł dokoła oczyma. W pierwszej chwili nie poznał Zaleskiego. Było coś znanego w tej twarzy przykrytej czapką noszoną na bikiniarski sposób, w tym uśmiechu dziwnie wyglądającym z posiniaczonej, wymiętej twarzy.

– Edka nie pamiętasz?

Dopiero teraz Gasiniec poznał kolegę. Jego pociągła, blada twarz rozjaśniła się życzliwym uśmiechem. Tłumaczył się, że w pierwszej chwili nie poznał...

– No pewnie, to już z górą trzy lata... A i pysk mam nieźle pokancerowany, rodzona matka miałaby trudności z poznaniem takiego syna... Gadaj, co z tobą? Trochę lepiej wyglądasz, aleś zawsze jednak pozostał wymoczkciem...

Na stół sfrunęły zaraz dwa piwa. Gasiniec pijał tylko ciemne, wołał unikać alkoholu. Miły był, serdeczny w stosunku do Edka. Pamiętał szkolne czasy, gdy ten brał go w obronę, bez pardonu młócąc przeciwników swymi twardymi pięściami. Nie na próżno trenował boks w klubie. Zapytał nawet, czy ślady na twarzy Zaleskiego to rezultat jakiegoś spotkania na ringu.

– Ech tam, głupi sport, dawno już nie mam z tym nic wspólnego... To z mordobicia. Miałem dziś cięższą przeprawę, naskoczył na mnie jeden bandzior...

Nie chciał więcej mówić. Wspomnienie Krasawczyka jakimś lękiem przeszło mu serce. Aż zadrżał. Czym prędzej skierował rozmowę na inny temat.

Gasiniec opowiadał o sobie. Choroba jego, wtedy jeszcze, przed laty, zaczęła być niebezpieczna dla życia. Jedyny ratunek widzieli lekarze w zupełnym przerwaniu nauki, wyjeździe na wieś i powolnej rekonwalescencji w zmienionych warunkach.

– Ojciec właściwie dla mnie tylko siedział w Olsztynie. Praca w Dyrekcji Lasów nużyła go. Teraz więc poprosił o leśniczówkę. Zaraz po otrzymaniu świadectwa z dziesiątej klasy wyjechaliśmy do Puszczy Piskiej. Tkwimy tam do dzisiaj. Na szczęście ze mną już znacznie lepiej, uczę się nawet, na wiosnę będę zdawał maturę jako ekstern...

Edka mało właściwie obchodziło to wszystko. Nawrotami nadbiegały przed pamięć groźne chwile minionego wieczoru... Dziewczyna, tamci trzej. Krzyczeli, że zabił... Boże, Boże...

Przechylił się wtedy nad stołem, zakrył twarz dłońmi. Nawet na mijających stolik dyżurnych milicjantów spojrzał dość obojętnie. Pal sześć, mają go brać, niech biorą! Jeden pies, psiakrew! Diabli nadali tego Krasawczyka!

Uczuł rękę Gasińca z troską muskającą jego ramię. Pytał, co mu jest, czemu tak nagle pobladł i zagryza wargi... Z trudem opanował się, zaśmiał się nawet.

– Myślałem o tej rozróbie... – I nagle, odczuwając gwałtowną potrzebę choćby częściowych zwierzeń, opowiadał: – Widzisz, facet miał dziewczynę, znałem ją tylko z widzenia. Podobno podkochiwała się we mnie. Licho wie zresztą, czy to prawda, tak gadali. A że gość jeszcze był naparzony, że mu konkurencję robię z konikami pod kinem, więc szukał tylko okazji. No i trafiła się. Ja go nie zaczepiałem, pierwszy skoczył... Rozróżba wyszła niewąska, bo i jego, i moi kumple też nie czekali na dalszą zachętę. Ten fagas, wiesz, miał zgrabnie owiniętą w gazetę gazurkę, czymś takim dobrze machnąć, to i na drugi świat można wysłać. Wybiłem mu ten przyrządek z ręki, ale mnie mimo to zważył w końcu na bruk, cienko było, gdy raptem ktoś, najpewniej dziewczucha, podsuwa mi to żelazo. Ja, nie czekając, bęc go przez łeb, poleciał jak długi. A tu już milicja nadbiega, gwizdy, gwałt, trzeba było brać nogi za pas.

Zauważył, że Mietek słuchał go zalekniony, ale zarazem aż usta rozwierał w podziwie. Sam słabeusz, cherlawy, czuł jakiś kult dla siły, pasjonował się słuchaniem opowieści o różnych bójkach i awanturach, w ogóle sytuacjach, w których siła fizyczna i zręczność grały pierwszą rolę... W pewnej chwili zapytał nieśmiało:

– A z tamtym co?

– Nie wiem – Edek z trudem zmusił się do obojętnego wzruszenia ramionami. – Zostawiłem go na chodniku. Musiał porządnie oberwać. Diabli wiedzą, co jeszcze z tego wyniknie...

Gasiniec próbował go wypytować dyskretnie o bliższe szczegóły, ale Edek nie miał już więcej ochoty do zwierzeń. Zły był nawet na siebie, że się w ogóle rozkleił. Siedział chmurny, pociągając piwo dużymi łykami. Głowa zaczęła znów boleć. Miał już dosyć wszystkiego.

Przytomność wróciło mu dopiero ciche pytanie Mietka, co teraz zamierza robić. Czy wyjeżdża gdzieś, że przyszedł na dworzec?

I wtedy strzeliła mu do głowy nagła myśl, której uczepił się jak tonący ostatniej deski ratunku. Nie wiedział tylko, jak sprawę przedstawić, czy w ogóle jest realna. Przełknął ślinę, lepką od tytoniu i znużenia.

– Cmoków mi zbrakło... A właściwie to myślałem też i o wyjeździe. Dosyć mam tego miasta, biletów, rozróbek, lewych handelków, całej tej bandy, wszystkiego. Ale co tu pomoże gadanie – machnął ręką z nagłą rezygnacją. Obok przechodził właśnie kelner. Skinął na niego: – Panie starszy; duże jasne...

– Ty, Edek, boisz się może... milicji? – bojaźliwie zapytał go wtedy Gasiniec.

Musiał się zaczerwienić, czuł, jak go zapiekły policzki. Ze złym błyskiem w oczach spojrzał na dawnego kolegę.

– Cholera z milicją! Boję się i nie boję... W ogóle mam dość! Nie od dzisiaj. Tylko nie myśl – zastrzegł się – że to dla jakichś tam moralnych dyrdymalek. Nie, znudziło mi się po prostu. Zawsze to samo, bilety, koniki, taki czy inny odskok na forszę, wredne mordy dokoła, babka, wódka, w kółko i w kółko. Ja już, cholera, pewnie pół roku jak książki żadnej w rękę nie miałem. W gazetach szukałem tylko ogłoszeń, czy jakiś interes się nie nawinie.

Zamilkł, potem wspomniął jeszcze o starciu z siostrą i szwagrem. Ale dodał to jedynie dla wyjaśnienia. Minęła już chęć realizowania projektu, który go olśnił przed paru minutami. Obojętnie popatrzał na szczupłą twarz chłopaka.

– Widzisz, ja się nie nadaję do niczego. Budę rzuciłem rok po tobie, znudziły mnie narzekania siostry, że ją objadam, cholerę, kiedy pełno miała wszystkiego. Poszedłem do jednej roboty, drugiej, potem trafili się tacy od biletów kinowych, lekki chleb, rzuciłem wszystko inne... A w ogóle gdzieś mam cały majdan. Nudno, rozumiesz? Nudno! Diabli wiedzą czego się chce, a czego nie...

Mietek, Edek czuł to wyraźnie, nie mógł się zdecydować, jaki ma zająć stosunek wobec niego. Czytał w spojrzeniu tego bladego chłopaka i odrazę, i podziw, niechęć i wielką sympatię. Uśmiechnął się z tych jego spojrzeń i tyle.

Megafon obwieścił zachrypłym głosem odjazd kolejnego pociągu. Gasiniec z lękiem spojrzał na zegarek. Za kwadrans nadlecieć miał jego pociąg. Powiedział to towarzyszowi. Edek kiwnął głową z ironią.

– Frygaj zatem, bo nie zdążysz... Wszystkiego dobrego.

Ale Gasiniec nie kwapił się do pożegnania. Jakby coś ważył w sobie. Wargi drgnęły mu raz i drugi, zwarły się. Towarzysz spoglądał na niego z uśmiechem ironii.

– Łakniesz jeszcze czego? Gadał – wrócił mu dawny, cwaniacki typ mówienia.

– Wiesz, mógłbyś pojechać ze mną, na jakiś tydzień. – Gasiniec zdobył się wreszcie na decyzję.

W spojrzeniu jego było wiele serdecznego ciepła. Edek dawno nie spotkał się z podobnym uczuciem w stosunku do siebie. Jakoś mu lżej się zrobiło. Innym już, zupełnie niepodobnym do poprzedniego tonem zapytał:

– A ojciec nie będzie miał za złe?

– Przecież nie będziesz u nas rozrabiał. Pobędziesz tydzień, dwa, połazisz po lesie, może jakiego szczupaka podchwycisz, choć to już późno, o cóż stary ma mieć pretensję? No jak, jedziesz?

– Jadę – powiedział wtedy.

Bilet kupili w ostatniej minucie. Na peronie tłok. Edek błyskawicznie przeskoczył przez tory, tuż przed lokomotywą, wpadł do wagonu od drugiej strony, zajął dwa miejsca. I teraz jadą. Pociąg postukuje, mijają kilometry, przez uchylone okno zawiewa zimny wiatr, rzeźwi zbitą i skołataną myślami głowę.

Wagon zakołysał mocniej, ze zgrzytem. Mijali jakąś zwrotnicę, zmieniali tor. Rozmyślenia Edka nad bogatym w przeżycia poprzednim wieczorem przerwał zachrypnięty głos babiny kulącej się na swych tłumokach.

– Zimno, mileńki! Dmucha przez szparę...

Wzruszył ramionami, co go to obchodziło, ale po chwili zamknął okno. Postął jeszcze trochę, sięgnął po papierosa, ale już nie zapalił. Usta miał spierzchnięte, w gardle drapało od przepalenia. Czuł znużenie. Za oknami szarzało coraz bardziej, wyłaniały się już kontury mijanego lasu. Zawrócił do swojego przedziału.

Gasiniec spał nadal, wtulając twarz w kurtkę zwisającą z wieszaka. Edek patrzył na niego przez chwilę z ciepłem w sercu. Potem przysiadł się obok, ostrożnie, aby nie zbudzić towarzysza. Próbował jeszcze coś skłecić w myślach, zastanowić się, ale zmęczenie było silniejsze. Ani wiedział, kiedy zasnął ciężkim snem...

...nie, ucieczka, wiedział to, nie zda się na nic. Byli tuż, tuż za nim. Słyszał już oddech najbliższego, kątem oka widział wyciągające się po niego ramię. Znów poderwał się do szybszego biegu, choć zmęczenie wyrywało mu serce z piersi, dławiło oddech. Odbił się tym razem, był już na Starym Mieście, gdzie znał każdy zakamarek, każde przejście, każdą stertę cegieł przy nowych budowlach. Jeszcze trochę, zaraz skoczy tu w bok, potem przewinie się piwnicami zburzonego domu, stamtąd przez stare podwórko wychynie na inną ulicę. Już widział się wolnym, gdy nagle zaraz po ostrzeżeniu padł strzał, potoczył się donośnym hukiem, za nim inne, jednocześnie rozległy się wokoło milicyjne gwizdy. I zaraz dłoń milicjanta zacisnęła się mocno na jego ramieniu. Szarpnął się, krzyknął, pomyślał, że wszystko stracone, że jednak dziewczyna miała rację...

Ujrzał nad sobą strwożoną twarz Gasińca. Pociąg wtaczał się powoli na tory stacyjne.

– Co z tobą, Edek. Krzyczałeś, szarpałeś się... Śniło ci się coś złego?

Za sylwetką towarzysza zobaczył zaciekawione twarze podróżnych, jasny dzień za oknem wagonu, budynek stacyjny, tłoczących się ludzi. Zrozumiał. Tak, to był sen, okropny sen...

– Śniłem, że gdzieś biegnę, jakieś strzały, sam nie wiem...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI